

Bierze mnie za ramiona i prowadzi do stołu, mam usiąść i wypić, a płaczę, chcę się tłumaczyć z płaczu, ale to nie to, nie mogę. On jest bardzo zdziwiony i mówi - płacz, ile możesz. A mała chusteczka nie może chłonać łez, jest za mała, nie wystarcza na moje gorące łzy. Ale w końcu wypłakuję się, a on pije jedną, drugą, trzecią whisky, aż w końcu wstaje, nie zadaje pytań, nie pociesza, zdenerwowany, zirytowany, czeka głucho. Nic nie mówi, wzdycha, próżnia, zdumiewająca cisza, bierze mnie za ramiona, próbuję się wyswobodzić, ale nie mogę, patrzy na mnie, a w oczach ma coś ciemnego, błagalnego, mówi że mnie kocha, a ja czuję rozpacz, ból, krew jak zalewa mi twarz, powoli, dokładnie, czuję jak wylewa się zgniłymi strugami przez uszy, przez nozdrza, przez wszystkie otwory ciała i wiem, że róże cementarne są już na moim karku i nie wiem co robić. Próbuję zdusić, zdławić, chwycić za gardło moją krew. Ale nie mogę. Nie jesteś chyba zazdrosna, moja panienko? - powie, a ja milczę, krew w ustach, milczę i rzucę - nie to nie to, naturalnie, że nie, nie ma żadnego powodu, ale za późno, bo nie mogę ukryć głosu wibrującego od smutku, a on jest taki dobry, że tylko chciałabym przytulić go policzkiem i sercem, złapać za twarz, i objąć łokciami pełnymi siły i pewności jak to kobiety robią i umieją. A później popatrzy twardymi, jasnymi oczami w twardej ciszy pełnej rozpacz i śmiechu. Nie chciałam żeby pytał mnie o powód, wypłacz się - rozkaże jeszcze raz. A ja znów płaczę, ale nie dlatego, że mi rozkazał, ale dlatego że to przynosi ulgę. Milczy, może zostanę z tobą dzisiaj? Nie, musisz odebrać dzieci, mówiłeś, że musisz. Całuje mnie głupio w czoło, a ja w samotnym towarzystwie ciała odpowiadam niemo i podaję mu kluczyki pachnące skórą. Elektryk, prąd, woda, gaz, pasta do zębów, nitki dentystyczne, szminka z Rossmanna. Sprzątanie, żeby pokój jak wróć był w miarę uporządkowany, kupuję bilet do domu, pociągiem. Jem kanapkę z szynką, myślę o Pawle, on porusza rzeczywistość na nowo, jest zastrzykami sekund, minut, każde jego zdanie oddziałuje na mnie, żuję w kuchni kanapkę z szynką i wstawiam talerz do zlewu, a potem Pawłową szklankę, kocham Pawłową pomarańczową szklankę, tylko whisky, herbata, czasem nie - nic więcej, to wszystko, a ja boję się ognistych wybuchów, kulistych piorunów, bo między odkurzaniem a myśleniem o Pawle, a rozpacz może do nich dojść, zmęczona, okropnie zmęczona, wyczerpana, łykam trzy zolpidemy, zasypiam nie myśląc. Budzę się jednak jak zombie w nocy, matka, moja matka, coś zabrzęczy na dworze, jakaś zgraja przejdzie mi pod oknem, wstanę z łóżka, pochodzę w wkoło, szukam komarów, ćmy, chociaż jednej muchy, zobaczę ich gromadkę przy lampce, ale nie zabiję ani jednej, bo to nie ich wina, bo jest zima a w zimie ich nie ma, bo to dźwięk w moich uszach. Ze spakowanej walizki wydaję książkę, muszę coś poczytać, ale po kilku stronach spostrzegam, że nie mogę, płaczę gorzko myśląc o matce, życie sprasowane jak warstwy butwiejących tkanin, jak gnijące liście, uwolniona od przyjaciół, od sądów, osądów, żyję jak naga dzikuska z amazońskiej puszczy, targana instynktami, zdolna do pragnień i głodu wdycham powietrze, które jest jakieś dziwne, w moim mieszkaniu jest dziwnie. Kamienica jest głucha, wychodzę na spacer wdychać miasto, grube warstwy smogu, spędzam w barze za rogiem trzy godziny, wracam przed świtem, gorące, martwe powietrze, niemrawa jasność różowieje od słońca. W domu kładę się na podłodze, nie nadejdzie jutro, nowy dzień, ludzie nie nadejdą nigdy, moja matka nigdy już nie nadejdzie, wszyscy będą z wyprutymi oczami, bez oczu, mroczni ludzie, a z rąk, tych duchów, same zło, sama zaraza, która mnie powali, zniszczy.

*

Zatracam zdolność obecności. Piękno już ze mnie nie wypływa, ogarnięta lęklwym niepokojem już nie piszę poezji, już nie ma we mnie żadnych słów, wcześniej piękno przyplýwało falami, bo Paweł, który jest taki piękny, bo jak zwykle, bo język, ślina i dłonie, drażnienie, ukojenie, dreszcz po plecach, druzgo-

cący, szalony, bolesny, byłam tylko raz piękna, bo Paweł.

Mam takie myśli, czuję czasem niezadowolenie, a innym czasem czuję rozpacz, że nie zostałam przez nikogo nigdy zgwałcona, że żaden mężczyzna którego miałam samotnie siedząc gdzieś na ławce, przy rzece, albo na plaży przed zmrokiem, żaden nigdy nie wpadł na taki pomysł, żaden o zdrowych zmysłach nie dopuścił się takiej myśli, każdy zdusił instynkty, że chciałabym wyrwać na nieznajomych plecach, gryząc ziemię w upartej ekstazie, pięć grubych pręg, na zawsze widocznych, by inne kobiety świata były na zawsze zakłopotane, speszzone jak myszki, zastanawiające się jaka to była ekstaza, a to jednak żadna ekstaza tylko zwyczajne upodobanie, ale paragrafy i sądy, i totalne upokorzenie no i istnieje niebezpieczeństwo ciąży, istnieje niebezpieczeństwo choroby wenerycznej, niebezpieczeństwo aids. Czerwono błada, nieczuła i wrażliwa wstaję z głową wypełnioną krwią, która skapuje mi z oczu, czuję czarne mdłości, stoję przed lustrem i widzę jak strasznie wychudłam, skóra i kości, nie mogę trzymać się na nogach, czuję jak pękają mi zęby, wyrastają z nosa obrzydliwe włosy, a później mój tyłek się rozrasta, pachy i piersi wiotczeją, ziemistość, kilka zmarszczek i obwisłość, uda mają wszędzie nieznosny cellulit, mętność, upór, otumanienie, on będzie przy mnie trwał, on, on, on, on, jemu się ufnie poddaje, chlupocze i wzbiera gorzka żółć, której nie mogę połknąć, muszę wymiotować, wyrzygać to jak niezdrowy kot.

Proszę mnie uwolnić, uwolnić od tej chwili ! - krzyczę stłumionym głosem z czasów gdy chodziłam do podstawówki a za tym głosem stoi moja matka, i czuję na brodzie wypłuty strumyk śliny, który coraz bardziej mnie obrzydza, ale nie robię z tym nic, z dziwną premedytacją. Ciągnę walizkę za sobą i myślę, że Warszawa płonie, miasto płonie, a chłód wypełnia gardło nieznosnym żwirem, cały ogień, który zwykle powinien być na papierze schowany w szufladce, teraz jest w powietrzu, ktoś wszedł do mojego pokoju i porozrzucił, zwęglił moje wiersze, moją poparzoną słowami długą, drżącą rzekę. Ale odsuwam Warszawę, dla niej nie ma już szans na przeżycie, nigdy tu nie wrócę, nigdy więcej, bo tu zawsze jest wojna, zawsze przemoc, zawsze nieustająca walka.

*

Obudziłam się w pociągu, pada deszcz, mam pełny pęcherz, pot pod pachami, obrzmiałe ludzkie ciała, wprawdzie żywe, a jednak mają wszędzie jakieś dziwne oparzenia, z tego obrzmienia pęka im naskórek, ścieśniamy się, koło trzeciej nad ranem twarz coraz bardziej mi szarzeje, opadam z sił, garbię się, gubię ruch, koło piątej jest jeszcze gorzej, okropnie, pochylona pod własnym ciężarem aplikuję sobie ruch, idę do łazienki, łapie mnie skurcz, prawie się przewracam, ale odmawiam sobie nieposłuszeństwa i myję ręce, wycieram je o falbaniasto muślinową spódnicę w zgniłe kwiaty. O siódmej jesteśmy na miejscu, żołądek ściska mi żrący strach, boję się widoku ojca. Zamknięci w ciasnej przestrzeni, duszeni w morderczym milczeniu, przeraźliwie krzyknąć, otworzyć drzwi, rzucić się w wir.

Położyłam głowę na dłoni ojca, nic nie mówi, nie odzywa się, nie okazuje czułości. Odezwij się - mówię mu, uśmiechasz się i jesteś taki spokojny, czemu nie krzyczysz? Pytam, ale wiem, że krzyczy, nawet teraz, tylko że to ja tego nie słyszę i świat tego nie słyszy. Wieczorem kroję mięso na jednakowe kawałki, krajam paprykę, robię forszmak, gotuję jajka a ojciec siedzi, a moje myśli czasem wędrują do Pawła, do jego dzieci, do jego żony, a ojciec zwiesza głowę i zaczyna płakać, zasłania twarz serwetą, nie ma nic do powiedzenia, a ja czuję zapach papryki i podpiekanego mięsa, i jajka które trochę zaczynają śmierdzieć, a on ma twarz martwą i pytającą, i coraz bardziej martwą z bezgłosu. Mówi, że postarzają mnie takie spódnice, że kto mi pozwolił na takie ubieranie się, na takie cmentarne rzeczy, mówię, że oddam wszystkie co do jednej do jednego z tych koszy na pck. Później widzę wyraźnie, że mój ojciec ma twarz mojej matki, wyblakła stara twarz, ale ma jakieś dziwne usta, nie takie jakie powinna mieć, i już nie wiem dokładnie czy to mój ojciec czy moja matka, wzbierają we mnie podejrzenia, że nie jest ani tym, ani tym, niczym, jakimś nieokreślonym potworem i przypominam sobie Pawła, bo myślę, że jest dla mnie stworzony, że dzięki niemu odnajduję samogłoski i spółgłoski, i uspokajam się, potem ojciec płacze, ale ocieram mu twarz rękawem swetra, mówię: będziemy żyli! Jestem z nim sama na świecie. Mój ojciec zdejmuje su-

kienki mojej matki, potem wszystkie swetry, wyjmuję biżuterię z szuflad, puls nie bije ani szybciej, ani wolniej, nie jest mi zimno, nie oblewa mnie pot, a matka patrzy się na mnie ze zdjęcia, a ja przypominam sobie jak lizałam loda w polewie czekoladowej jak miałam osiem lat, a kawałki czekolady przyczepiały się do wąsika nad górną wargą, a po policzku spływały strużki rozpuszczonych lodów, a matka krzyczała: niedobra, niedobra, niedobra, niedobra!

Głęboko w nocy wydaje mi się, że słyszę głos, to ojciec krzyczy przez sen, rozbrzmiewa to we mnie, szemrze, schodzę na dół i uspokajam go, przynoszę mu herbatę i milczymy, potem gaszę światło, a on mówi, że jutro pogrzeb. Usypiam później, jednak na krótko, bo gdy otwieram oczy, widzę, że matka zdejmuję sukienkę i kładzie się obok mnie. Czuję blisko zapach tego ciała, nieuchwytny jak popiół ze skrzydeł ćmy. Patrzę na grube sine żyły i starcze plamy. A teraz sen - mówi. Ubieram się w tłustą czerń, mam rozczochrane rzęsy, medalik ze zdjęciem matki leży na skórze mojej szyi jak rozpalony węgiel, staram się wydobyć jakieś wymoczkowate, orzęsione myśli, ale nie starcza mi aksonów w mózgu, szeroka tłusta i głęboka ziemia wypełnia grób mojej matki, a ojciec zrywa gorące przywiązanie nieustępliwego serca i kładzie się na ziemi, która przed chwila przysypała matkę, sekundę później ktoś ciągnie mnie za włosy, to mój ojciec, bo to teraz ja leżę na trumnie mojej matki częściowo przysypana ziemią i krzyczę, że chcę umrzeć, rękę podaje mi kobieta, której chustka zsuwa się z twarzy, zobaczę jej twarz i wybuchnę płaczem bo ją rozpoznam.

Widzę nagie drzewa, które wtapiają się równo w zmierzch grudniowego dnia.

Na chwilę robi się jasno, samochód wymyka się spod kontroli ojca, nie ma czasu na reakcję, nie zdążę powiedzieć ani słowa, a ojciec choćby dotknąć hamulca. Wielkie auto śmiga nam przed oczami jak ciemny wielki błysk, niemal bez dźwięku. Najwyżej metr od przednich świateł. Nie czuję przerażenia, czuję coś nieokreślonego, mam jedną jedyną łzę która zbiera się w kąciку, ale nie może się oderwać, aż w końcu nadchodzi druga i pomaga jej ulecieć w nieskończoność.

Idę dzisiaj Nowogrodzką i myślę o przeprowadzce, wieczorem Paweł nie jest już Pawłem, oceniam go jak chirurg ocenia pacjenta, tu plama w płucu, tam kamień w nerce, mówię mu, że moja matka zmarła, że wczoraj byłam na tańcach i, że tańczyłam z młodym obrzydliwym chłopakiem, bo chciałam go zdradzić, zniszczyć raz na zawsze, mówię mu, że jestem cholernie zmęczona, że za długo byłam na nogach, że ledwo żyję, a on pyta czy pójdę z nim do kina. Ale mówię że nie mogę, niestety nie mam czasu, chciałabym bardzo, ale nie mogę. A coś we mnie szepce - zabij go, zabij ich, zabij tę całą rodzinę, ale jest też drugi głos, który jest chyba głośniejszy i który mówi, że go kocham. Masz trupio bladą twarz - powie, a ja odpowiem, że to z niewyspania, że potrzebuje urlopu. Jesteś dzisiaj jakaś dziwna - powie, a ja powiem, że to przez zimę, że to przez grudzień, że przez Warszawę, a on uwierzy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

jeden, dodano 15.02.2017 10:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.